

# To wszystko ma sens

Z Anną Dymną  
rozmawia Janusz Schwertner

Fantastyczny świat teatru, sceny, kina i niezwykłych osobowości. Świat dramatów, własnych i cudzych. Świat szkoły teatralnej, w której samą wychowuje dziś nowe pokolenie aktorów. I świat olbrzymiej wiary – w dobroć i siłę drugiego człowieka. One wszystkie razem tworzą świat jednej tylko osoby. Anny Dymnej.



– Trafiła Pani na studia aktorskie pod presją.

– Przymusu nie było, ale rzeczywiście początkowo chciałam zostać psychologiem. Los chciał inaczej. W mojej kamienicy mieszkał aktor Jan Niwiński, który prowadził Koci Teatr dla dzieci przy Poczcie Głównej w Krakowie. Tam zaczęli swoją przygodę z teatrem m.in. Ania Polony, Ryszard Filipiński, Jan Frycz. Pan Jan był niezwykle, inny, demoniczny. Czasem ćwiczył swoje role na korytarzu. Jako małutka dziewczynka trochę się go bałam. Podśluchiwałam, jak na balkonie pracuje nad wierszami ze swoimi „dziećmi”. No i z czasem też wciągnął mnie w swój świat. Był fascynującym pedagogiem. Opowiadał niezwykle historie, m.in. jak to na motorze przejechał wzdłuż i wszerz Saharę, jak poznał Lenina lub jak kiedyś kopnął w tyłek samego Pabla Picassa (*śmiech*). W Kocim Teatrze zagrałam swoje pierwsze role, m.in. Marysię Sierotkę czy Mirandolinę Goldoniego. Ale o zawodzie aktorki nigdy nie myślałam. Po maturze złożyłam papiery na psychologię na UJ. Gdy pan Janek się o tym dowiedział, dostał szału i kazał mi zdawać do PWST. Egzaminami odbywały się w czerwcu, a na UJ dopiero w lipcu, więc pomyślałam że nie mam nic do stracenia. No i się dostałam na te studia, mimo że byłam wtedy bardzo nieśmiałą dziewczynką, małutką, chudziutką, nieznaną brzydkich słów, szminki i tuszu do rzęs.

– W jaki sposób oddziaływanie Jana Niwińskiego, człowieka oddanego sztuce, zderzało się z oddziaływaniem Pani ojca – człowieka, który artystów uważał za dziwaków?

– Tutaj nie było żadnej sprzeczności z moim dotychczasowym życiem, bo choć świat teatru zafascynował mnie, to nie zaczęłam z dnia na dzień pić, palić i stawać się zblazowaną artystką. Jestem zwyczajną aktorką i bardzo kocham swój zawód. A już z pewnością nie jestem żadną gwiazdą. Na pewno nie było też żadnej sprzeczności z moim wychowaniem, bo te przygody aktorskie były raczej jego dopełnieniem. Ojciec mi niczego nie zabraniał – on mnie uczył łowić ryby, jeździć na motorze, naprawiać kontakt. Jeździliśmy razem na wycieczki, pod namiot. To był ojciec od takich rzeczy. I to było i jest ważne w moim życiu – ojciec mnie uczył odwagi, prawości, swoich stalowych zasad. Mawiał, że jak w coś naprawdę wierzysz, to musisz być swoim przekonaniom i wierze wierna, i nie dać nikomu tej wiary zniszczyć. To były kluczowe sprawy.

– Rodzice nie bali się, że nie poradzi sobie Pani w aktorstwie, nie nalegali na zmianę planów?

– Nigdy nie czułam żadnej presji z ich strony, nie dyktowali mi, czym powinnam się zająć. Trochę się bali, oczywiście, bo wiedzieli, że byłam nieśmiała, a przy tym bardzo wrażliwa. Słyszałam, jak kiedyś tato mówił do mamy: „Może się nie dostanie, nie przejmuj się”. Tymczasem mnie się udało.

Wydaje mi się, że miałam predyspozycje. Jak kazali mi się śmiać, to się śmiałam, jak płakać, to płakałam. Dobrze pamiętam swój egzamin na studia. Byłam wtedy po ciężkiej chorobie, chudziutka i słaba, przerażona. Wezwana na salę, nie potrafiłam otworzyć ciężkich drzwi. Chwilę z nimi walczyłam i wreszcie wpadłam na egzamin takim „kopem” i runęłam na podłogę u stóp komisji. Komisja ryknęła śmiechem i usłyszałam pytanie: „A skąd ty się tu, malutka, wzięłaś?” (śmiech).

– Podobno gdy komisja kazała Pani płakać na zawołanie, to nie miała Pani z tym żadnego problemu. Była Pani kompletnie przerażona, a tu w końcu ktoś pozwolił się wyplakać...

– Pamiętam, że byłam ubrana w białą, króciutką sukieneczkę, miałam koński ogon i charakterystyczną grzywę, wyglądałam jak dziecko. Kłębł się tłum podnieconych kandydatów. Niektórzy pytali mnie: „Ej, mała, a ty z kim tu przyszłaś, z bracijskiem czy z siostrzyczką?”. A ja na to grzecznym głosem: „Nie, nie, ja tu zdawać przyszłam”.

– Komisja kazała Pani wykonywać przeróżne zadania. Pamięta je Pani?

– Tak i to dość dokładnie. Na początku miałam czytać bardzo śmieszny list... Jak w takim stresie się śmiać? Wydawałam z siebie jakieś rozpaczliwe, nieokreślone dźwięki. Komisja życzliwie pokladała się ze śmiechu... Drugie zadanie: „Dostajesz telegram z tragiczną wiadomością”. To rzeczywiście poszło mi świetnie. Tak mi się płakać chciało, że załamam się prawdziwymi łzami. Nie miałam chusteczki, więc po chwili byłam cała zaśmiana i musiało to wyglądać żałośnie. Usłyszałam: „No już uspokój się, dziecko. Wiesz, kto to jest Karin Stanek? Ona śpiewa taką piosenkę *Rudy rydz*. To proszę teraz to zaśpiewać i zatańczyć. Masz tu miotłę, to jest twoja gitara”. Spełniłam ich prośbę, zaczęłam śpiewać, chlapiąc równocześnie, a oni zaczęli się ze mnie potwornie śmiać. Następnie kazali mi nieść wazę chińską, która była warta miliony. Moim zadaniem było przenieść ją z szafy w jakieś inne miejsce. Albo inne: wchodzić do pokoju i widzieć, że na środku stoi złodziej. Jestem przerażona, zapalam światło, a tu płaszcz wisi.

– Jak odnalazła się Pani w tym dziwnym świecie aktorów i studentów szkoły teatralnej?

– Odnalazłam się znakomicie, bo mnie ten świat niezwykłe zafascynował. I pokochałam go. Na początku rzeczywiście wszystkiego się bałam i wstydziłam. Ale jak się do tych studiów podchodzi poważnie, to są one naprawdę fascynujące. Zwłaszcza że wówczas nie mieliśmy żadnych innych konkurencyjnych atrakcji. Te studia wtedy, za komuny, to było dla nas coś takiego, jakbyśmy się dostali do windy, która jedzie do nieba. Znaleźliśmy się poza szarżyną życia, oglądaliśmy filmy, których nie można było oglądać, spotykaliśmy prawdziwych artystów. Z tej rzeczywistości brudnej, szarej,

nieciekawej wchodziliśmy w świat poezji, sztuki, teatru.

– Pani studia okazały się jednak trochę nietypowe. Od końca lat 60. występowała Pani na scenie, postanowiła też Pani wziąć urlop dziekański, byagrać w filmie.



fot. Wojciech Plewiński

– Na pierwszym roku pojawiła się w szkole pewna ostra i groźna z pozoru kobieta, Lidia Zamkow. Robiła wtedy w Teatrze Słowackiego słynną inscenizację *Wesela* i szukała studentów do roli Isi i Chochoła. Zorganizowała casting. Wyglądałam jak dziecko i wygrałam. Jeszcze w 1969 roku odbyła się premiera. Pamiętam, że jako młodziutka i niewinna istota byłam wtedy pod specjalną ochroną. Istniała na przykład zasada, że przy mnie, przy dziecku, się nie przeklina. I bywało, że Lidia zdenerwowana przerywała próbę i mówiła do mnie: „Anusiu, ty sobie tu siądz spokojnie, a my pój-

najpierw Słowackiego, później w Starym. Wyszła też Pani za mąż – za Wiesława Dymnego. I to wszystko jeszcze w trakcie studiów.

– Ale dałam sobie radę, bo wszystko potoczyło się dosyć harmonijnie i naturalnie, choć czasem miałam dylematy i momenty, kiedy wydawało mi się, że nic ze mnie nie będzie. Przy tym dość szybko dojrzewałam. Miały na to wpływ te wszystkie doświadczenia – wczesne opuszczenie domu, konieczność zarabiania na siebie i bycia samodzielną. W filmie *5 i pół bladego Józka* scenarzystą był Wiesiu Dymny. Ja go co prawda poznałam już wcześniej, przy okazji mojego pierwszego filmu, ale grom z jasnego nieba spadł na nas właśnie wtedy. On był niezwykłym człowiekiem – starszy ode mnie o piętnaście lat, wywołony artysta, o którym krążyły różne legendy, związane głównie z jego alkoholizmem, z ekscesami w Piwnicy pod Baranami... Ale nie mogło się inaczej stać. Miłość to jest miłość, ona nie wybiera. Przeżyłam coś niezwykłego, co zdarza się bardzo rzadko w życiu. Szkoda tylko, że tak krótko to trwało.

– Życie u boku Dymnego było zupełnie inne niż do tej pory?

– On był niezwykły. Szczery do bólu, jak ogień i woda równocześnie. Któregoś dnia, gdy zaczęłam opowiadać mu, jak to kiedyś będę bogata, więc nie będę gotować obiadów i męczyć się jak moja mama – szliśmy akurat ulicą Karmelicką – potwornie się oburzył. Zaczął krzyczeć: „Co?! Ty będziesz gwiazdą? A w czym ty jesteś lepsza od babci kłozetowej, która kocha swój zawód? Masz robić wszystko sama!”. I myśmny rzeczywiście robili wszystko sami. Dymny mówił: „Masz umieć murować ściany, prze-

Anna Dymna ma 60 lat. Ukończyła Wydział Aktorski w krakowskiej Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej. Jedną z najwybitniejszych polskich aktorek. Ma na swoim koncie dziesiątki ról teatralnych i filmowych. Od 1990 roku wykładowca na PWST. W 2003 roku założyła fundację „Mimo Wszystko” zajmującą się pomocą osobom niepełnosprawnym umysłowo. W 2004 roku za zasługi dla kultury narodowej została uhonorowana Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. W 2006 r. została laureatką przyznawaną przez „Tygodnik Powszechny” Medalu św. Jerzego. Jest organizatorką Festiwalu Zaczarowanej Piosenki im. Marka Grechuty oraz autorką programu *Anna Dymna – spotkajmy się* nadawanego przez Telewizję Polską.

dziemy omówić coś z aktorami”, po czym zamykała się z nimi w garderobie Solskiego i krzychała tak, że było na Rynku słychać i to słowami, których znaczenia jeszcze wtedy nie znalazłam. (śmiech). Później przyszedł czas na telewizję i kino. Dla swojego drugiego filmu w życiu, *5 i pół bladego Józka* wzięłam urlop dziekański. On ostatecznie nigdy nie wszedł na ekrany, bo cenzura wyrzuciła jedną trzecią filmu. Trafił tylko do kin studyjnych. Ale zupełnie nie żałuję tej decyzji.

– Studia pochłonęły Panią całkowicie, ale wokół nich działy się rzeczy niezwykle ważne. Zadebiutowała Pani w teatrze –

tykać sprac, szyc, bo tyle człowiek jest wart, co sam zrobi”. On *de facto* ustawił mnie na całe życie. Nigdy nie czułam się lepsza od innych z powodu bycia na jakiejś okładce. On mi powiedział jednym zdaniem, co to wszystko znaczy. Dzięki niemu nigdy nie uderzyła mi woda sodowa do głowy. Życie z nim było fantastyczne! Wiesiu robił mi tysiące fotografii. Jak nie pił, to paliło mu się w rękach, ciągle coś robił. Układał tysiące tekstów, ciągle coś rysował, wszędzie porozrzucał były nasze przeróżne rysunki. Tylko jak pił, to było gorzej. Ale ja to traktowałam jak chorobę.



– Później musiały Pani radzić sobie z jeszcze niejednym dramatem. Życie bywało trudne.

– Tak. Mam dość ciekawe życie. Miałam kilkanaście wypadków samochodowych i ich skutki z latami dają w kość. Czasem coś mi odpada, urywa się, ale lekarze – czarodzieje przyszywiają, naprawiają i biegnę dalej. Czasem nie jest łatwo, ale ciągle sobie powtarzam: „Boże, żebym nigdy nie stała się zgorzkniałą babą”. Bo przecież czas mija i jak każdy doznaję skutków przemijania. W dodatku jak każda aktorka starzeję się publicznie. Ludzie wciąż oglądają moje stare filmy: *Znachora*, *Nie ma mocnych*, *Janosika*, gdzie byłam szczupłą, małą, śliczną Anią. Zdarza się, że ktoś mija mnie na ulicy i mówi: „kurde, jaka się pani gruba zrobiła”. To prawda. Uśmiecham się i robię swoje. Na uczelni pracuję z premedytacją – bo dopóki mam kontakt ze studentami, to rozumiem świat, widzę, jak się zmienia, jakie niesie nowe problemy. Dzięki temu nie muszę się oburzać, że coś jest inaczej, niż było. Nie zawsze za nimi nadążam, nie zawsze do końca rozumiem, ale myślę, że czasem mogę pomóc, czegoś nauczyć. Nawet jeśli rozpalam w nich tylko małą iskierkę, to warto. A przy okazji ciągle wiem, jak wygląda świat. Gdybym nie uczyła studentów, to pewnie nie miałabym o nim już zielonego pojęcia. Bo szybciej już biegnie niż ja. Zamknęłabym się w pokoju i uważała, że jestem kimś ważnym, a świat po prostu głupiej (śmiech).

– Jerzy Stuhr, który kiedyś także pracował na PWST, narzekał jednak, że dzisiejsi studenci są do bólu pragmatyczni i już na czwartym roku myślą o przyszłości, karierze...

– Nie wiem, czy to pragmatyzm. Na pewno są zagubieni, przerażeni, są napięci i czujni, czy aby coś im nie umknęło, czegoś nie przegapią. Studenci już na pierwszym roku myślą o tym, co będzie później, walczą o to, kto będzie z nimi robił dyplom i czy ten

któs zapewni im jakąś ewentualną karierę, a to strasznie przeszkadza w studiowaniu. Czasy się całkowicie zmieniły, tego nie da się w ogóle porównywać. Oni mają w tej chwili otwarte granice, otwarty świat, tak wiele możliwości, filmów i seriali – w których są potrzebni młodzi ludzie. I muszą podejmować naprawdę trudne decyzje. Czasem przychodzą do mnie z prośbą o radę, czy na przykład powinni zagrać tu czy tam. I wtedy ja mówię: to jest twój wybór. Tylko twój... Dzisiaj jesteś młodzieńcem, masz propozycje, jesteś potrzebny – no to może weź urlop dziekański i graj. Może to jest twoja szansa. Ale jeśli chcesz być aktorem teatralnym – musisz poświęcić czas szkole. Bo proszę pamiętać, że w serialu niepotrzebne są żadne umiejętności, ważna jest szczerść. Wystarczy spojrzeć na kariery Kasi Cichopek czy braci Mroczków. Nie mam nic przeciwko nim, są sympatyczni i cudowni, prawdziwi, po prostu są, jacy są. I ludzie ich takich kochają, bo inaczej nie oglądaliby tych seriali. Choć oczywiście trzeba pamiętać, że to, co robią, nie ma często nic wspólnego z aktorstwem.

– Wy nie mieliście takiej presji, takich wyborów? Było pod tym względem łatwiej?

– W naszych czasach było łatwiej odszukać wartości. Łatwiej wybierało się swoją drogę, bo jak gdzieś zaświeciło słońce i dostrzegło się promień, to szło się za nim. A takim jasnym promieniem była dla nas szkoła teatralna. Najważniejsze były spotkania z ludźmi, rozmowy. Ileż ja nocy przegadałam o sztuce przy herbatce czy faszercze. Inaczej się wszystko przeżywało. Więcej było czasu. Teraz jest wszystko bardziej kolorowe, emocjonalne, ale i bardziej powierzchowne. Wówczas nie brakowało nam autorytetów. A dziś? Jak teraz znaleźć kogoś takiego, skoro wiele autorytetów na naszych oczach się opłuwa, a inne po prostu zamilkły w tym wrzasku i kłótniach? Ja też czasami

czuję się samotna. I gdy mam jakiś poważny dylemat dotyczący dramatycznych spraw innych ludzi, nie mam do kogo się udać.

– Gdy spogląda Pani na swoich studentów, to widzi w nich Pani ludzi, którzy potrafią otwarcie mówić o uczuciach?

– Sprawia im to ogromny kłopot. Często pracuję z nimi nad opowiadaniem Herberta. W nich są ukryte wszystkie prawdy o człowieku; kompleksy, dobre i złe uczucia, tęsknoty i marzenia. Każdy swoim kluczem musi te opowiadania otworzyć. I jest trudno. Bo trzeba mówić o tych najprostszych wartościach. Oni się często tego wstydzą. Dzięki takiej pracy wiem, co myślą o świecie. To bardzo dużo mi mówi o ich pokoleniu, o ich problemach. Ale młodzi ludzie są różni – jedni mądrzejsi, drudzy głębsi, jedni rozsądni i spokojni, inni zapaleńcy. Często bywają zagubieni, niektórzy tak zakochani w teatrze, że oddaliby życie, byleby zagrać na scenie. Są naprawdę fantastyczni. Mam wielu cudownych studentów.

– Oprócz Herberta sięga też Pani czasem po przygodę Kubusia Puchatka. Każde Pani patrzeć studentom na świat oczami Tygryśka i Prosiaczka. I jak reagują?

– Rzeczywiście, od dwudziestu lat, tak dla prawdziwej przyjemności, robię z nimi jakiś rozdział z *Kubusia Puchatka*. W postaciach tej książki ukryte są wszystkie charakterystyki i postawy ludzkie. Gdy student gra i Tygryśka, i Malenistwo, i Prosiaczka, i Kłapouchego, którzy np. się kłócą, to przede wszystkim uczy się koncentracji. Te wspólnie, wyraziście nakreślone postaci w magiczny sposób otwierają studentów. Pamiętam taką studentkę, która miała problemy z ujawnieniem swojej kobiecości, seksu, wdzięku... Prosiaczek wydobyl z niej i ujawnił wszystko, przełamal nieśmiałość i wszystkie bariery. *Kubuś Puchatek* jest dla mnie magiczny, wyjątkowy. Ale ćwiczenia robimy też na przepisach kulinarnych czy kodeksie drogowym. Na kilku powtarzanych wielokrotnie zdaniach uczymy się wydobywać z siebie emocje, te, które są nam znane, i te, które siedzą głęboko ukryte w człowieku. Uczymy się, że słowo jest największą szansą i przyjacielem aktora. Bez względu na to, co znaczy, możemy nim przekazać wszystko.

– Pani świat to także fundacja i stały kontakt z osobami niepełnosprawnymi. Jak Pani radzi sobie z przenikaniem się tych dwóch rzeczywistości w Pani życiu?

– To nie jest proste. Gdy wracam z nagranego mojego programu *Spotkajmy się* i jadę prosto na zajęcia do studentów czy na próbę do teatru, to wydaje mi się, że trafiam do innego świata. Tam ludzie cierpiący, umierający, często skazani na nieuchronną śmierć opowiadają mi, jak piękne jest życie, tu ludzie młodzi, zdrowi, piękni i zdolni, czasem znudzeni, narzekający, niezadowoleni. Ale tak po prostu jest. Często przeraża mnie to wszystko. Podczas rozmów z moimi bohaterami z programu często pękam. To, co słyszę, nie mieści się w moim sercu ani mózgu,

To przechodzenie między różnymi przeszczerzeniami bywa momentami niezwykle bolesne i trudne. Nieraz bym wzięła taką studentkę i powiedziała: „Weź się w garść, nie trać czasu na narzekania i nudę. Nie marnuj skarbow, jakie dał ci los”. Ale w ten sposób nic bym nie wskórała. Próbuję im za to uzmysłowić, że są szczęśliwi. Bo nie zdają sobie sprawy. Ja też nie zdawałam sobie sprawy. Jak byłam piękna, młoda i zgrabna, a w dodatku szczęśliwa, to kompletnie o tym nie wiedziałam. Teraz, choć przecież wiele przemieniło – wiem to doskonale! (*śmiech*). Wiele dają mi rozmowy z osobami niepełnosprawnymi intelektualnie. Bo oni mają niczym niezamącone, najszczersze emocje. I ja staram się tego od nich uczyć. Może to zabrzmiać jak paranoja, ale ja po normalność jeżdżę do moich niepełnosprawnych umysłowo podopiecznych.

– Jeździ Pani do nich z całkowitym przeświadczeniem, że Bóg istnieje, że ich cierpienie ma sens?

– Kocham życie i wiem, że cierpienie i umieranie jest jego częścią i sensem. Nie pojmuję wszystkiego i często też zadaję sobie pytanie, dlaczego człowiek czasem jest wybrany do tak nieludzkiego cierpienia. Czytałam na ten temat wiele mądrych słów. Ale

najbardziej pamiętam słowa Mamy z dzieciństwa: „Popatrz wokół, na kwiaty, drzewa, zwierzątka... Jak to wszystko jest wymyślone. Jak wszystko jest po coś! Nic nie jest bez sensu na ziemi. Czasem czegoś nie zrozumiesz, czasem będzie ci ciężko, ale to wszystko ma sens”. I ta wiara ma olbrzymie znaczenie. Bez niej nie wiedziałabym nawet, po co oddychać. Pracownikiem Fundacji Mimo Wszystko jest Janusz Świtaj, który prosił kiedyś o prawo do zaprzestania uporczywej terapii. To człowiek, który od 19 lat jest sparaliżowany, oddycha przy pomocy respiratora. Zatrudniłam go w mojej fundacji. Skończył teraz średnią szkołę. Wybiera się na studia... Internet daje takie możliwości. Czuje się potrzebny i cieszy się każdą chwilą. Już nie rozmawiamy o eutanazji, bo odnaleźliśmy radość i sens.

– Temat eutanazji zdominowali w ostatnich czasach politycy. Daje się Pani wciągnąć w ich dyskusje czy woli patrzeć na nie z daleka, z pewnego dystansu?

– Przede wszystkim jestem rozczarowana polityką. Kiedyś w mojej niewinności wydawało mi się, że jest to przestrzeń, w której ludzie patrzą z różnych punktów widzenia, by razem coś budować i osiągać cel. Ze ktoś coś proponuje, drugi coś innego, ale obaj prą do

przodu. A u nas polityka często polega na tym, że jeśli ktoś coś robi, to ten drugi, stojąc za jego plecami, robi wszystko, by udowodnić, że robi to źle i bez sensu. Politycy często nie umieją ze sobą rozmawiać, nie szanują przeciwników, tracą energię na kłótnie i nienawiści. Czasem w tym rozgardiaszu zapominają o najważniejszych sprawach. Nawet taka tragedia jak Smoleńsk służy nienawiści. Ks. Twardowski pisał: „Tylko śmierć może ludzi przybliżyć do ludzi”. A nam nawet Twardowskiemu udało się zaprzeczyć.

– Nigdy chyba nie rozczarowała się Pani za to teatrem. Scena jest odskocznią od tych wszystkich światów, o których rozmawialiśmy? Od fundacji, uczelni, programów w telewizji, festiwalu?

– Tak. To mój bezpieczny, wirtualny świat. Na scenie zapominam o wszystkim. Dzisiaj o osiemnastej gram w teatrze, więc wiem, że do dwudziestej drugiej będę miała wyłączoną komórkę, żaden dziennikarz nie będzie mi truł (*śmiech*), nikt prosił o pomoc. To jest mój azyl. Zdałam sobie sprawę, że ja nie przeżyłabym tych wszystkich tragedii: pożarów, śmierci, wypadków, gdyby nie mój zawód. Zwariowałabym. A tak – po prostu musiałam grać. I wciąż inam siły i radość, i wciąż mi się chce! ■